

Nr. 8. Lwów 9. Lipca, 1870 R. Rok I.

OBRAZKI Z EMIGRACYJNEGO ŻYCIA.

PRZEZ

Zygmunta Gawareckiego.

Nie zastanawiano się dotąd dosyć, zkąd to pochodzi, że w naszem społeczeństwie począwszy od połowy panowania Stanisława Augusta aż do dziś, wyradzają się tacy szczególni marnotrawcy, jakich w podobnym gatunku prawie nigdzie za granicą dopatrzeć się nie można. Typ jednak takiego marnotrawcy jest wielce ciekawy i już dlatego wart zbadania gruntownego, aby można poznać było tak przyczyny jego wytwarzania się, jak niemniej i to co on wyraża, gdyż tu nic się bez przyczyny nie dzieje. Zanim więc powiemy o marnotrawcy wyrzuconym wypadkami na emigrację, zastanowimy się wprzód nieco nad jego zjawiskiem pomiędzy nami w kraju, aby odsłonić powody jego tam istnienia.

Nie będziemy się tu wdawać w filozofję i w psychologję, w całej bowiem naszej prostocie ducha jesteśmy najzupełniej takiego samego przekonania, jakie w tym względzie powszechnie panuje w naszym narodzie, który powiada, że marnotrawca jest widoczną karą bozką w każdej familij, w której się tylko pojawi. Że tak jest w samej istocie, w to najmocniej wierzymy, co też zresztą wcale jest nie trudno udowodnić, byle się tylko dobrze przypatrzeć chciano temu, co się u nas dzieje.

Nieraz zdarzyło nam się słyszeć mówiących: Dziwna rzecz! Ojciec taki był porządny człowiek, tak pracował, tak zabiegał, tak sobie wszystkiego odmawiał, aby tylko zebrać jaknajwiększą fortunę, a syn jak się tylko do niej dorwał, z niemniejszą gorliwością stara się ją na wszystkie strony rozproszyć, jak ojciec do kupy zgromadzić. Widoczna to kara Boża; jakieś niebłogosławieństwo nad tą rodziną ciąży.

Prawda, że to niebłogosławieństwo Boże! ale zkąd ono pochodzi i dla czego tak jest częste? Ileż to bowiem za dni już naszych zniknęło fortun w drugiem lub trzeciem pokoleniu zaraz, ile zniknęło majątków tak pracowicie zbieranych; ile to zrujnowało się domów długo przedtem w dostatki zamożnych. Otóż to niebłogosławieństwo bozkie nie jest bez przyczyny i jeżeli tylko pilnie przejrzymy historję zrujnowanych, lub rujnujących się teraz ciągle jeszcze familji przez marnotrawstwo jednego z jej członków, to pomimowolnie przyznamy: że ono jest nieszczęściem, ale zasłużonem. Jest ono bowiem widoczną karą bozką za zbytnie pragnienie dojścia do majątku, choćby przez niedopełnienie tych obowiązków, jakie na każdym z nas ciążą, jako na człowieku i na obywatelu Narodu Polskiego. Od upadku też Polski można śmiało przyjąć, że prawie dwie trzecie części dawnych rodzin właścicieli ziemskich upadło. Familje te zupełnie już straciły ów majątek, dla którego utrzymania lub powiększenia łożone zabiegi, nie pozwoliły pradziadom naszym poświęcić się sprawie publicznej wtedy, kiedy największe niebezpieczeństwo wisząc nad krajem, groziło mu nieochybną zgubą, którą tylko poświęcenie się wszystkich odwrócić by mogło było. Mieliśmy sposobność w kilku parafjach tak w Koronie jak na Litwie badać zmianę właścicieli ziemskich i wszędzie toż samo nam wypadło, że dawne familje właścicieli w znacznej części zniknęły, a ich miejsce zajęły nowe, w niektórych okolicach cudzoziemskie nawet, a wtedy obojętne lub niechętne narodowej sprawie. Prawda, że tak liczne polityczne burze jakie nawiedziły ziemię naszą, zniszczyły wiele dawnych majątków, ale niezaprzeczonem jest też i to, że niedołęztwo i marnotrawstwo sukcesorów, przyczyniło się do tego bez porównania powszechniej i potężniej. Niezbite fakta świadczą o tem dostatecznie.

To zatem marnotrawstwo jest tak jak lud powiada wyraźną karą. i nieblogosławieństwem bozkiem. Niestety! nie podobna jest zaprzeczyć, że kara ta ciążąca na synach za ojców, jest sprawiedliwa. Kara ta bowiem spada na potomków tych, co począwszy jeszcze od Konfederacji Barskiej i dalej za wszystkich następnych aż do dziś powstań i wysileń narodowych, usuwali się od udziału czynnego w nich pod wszelkimi pozorami, sądząc, że przez to i siebie ocalą i majątków swych nie tylko nie narażą na łupieztwo drapieżnego wroga, ale je przekażą swym następcom. I mogliż otrzymać błogosławieństwo Boże, kiedy na tych fortunach przekazanych dzieciom przez ludzi usuwających się od dopełnienia obowiązków względem Ojczyzny, ciążą nieszczęścia krajowe i krew tych zacnych i poświęconych patrjotów, co zapomniawszy o sobie, spieszyli na każde wezwanie powstającego kraju i ginęli jako opuszczeni od ogółu, jako niepoparci przez wszystkich. Ci to właściciele niby rozsądnie zapatrujący się na rzeczy, pamiętający tylko o sobie, pomylili się jednak strasznie w swych niepolskich rachubach. Myśląc tylko o niestraceniu swych majątków, zapomnieli o tem, że jest jednak nieubłagana sprawiedliwość bozka na ziemi. Zapomnieli o tem, że za taką prywatę ojców, synowie zawsze ciężko odpokutować muszą. Zapomnieli, że kiedy nad majątkiem ciążyć będzie nieblogosławieństwo, to on zniknąć musi wkrótce czy przez grabież wroga, czy przez niedołęztwo lub marnotrawstwo dzieci.

Ile też razy widzimy kogoś zajętego wyłącznie tylko myślą o zrobieniu majątku, a głuchego na wszelkie potrzeby narodowej sprawy, przychodzą nam zawsze na pamięć prorocze słowa Skargi: „Na co twoje sobkostwo wynijdzie, gdy Ojczyzna upadnie? Izali ty w jednej łodzi z innymi będąc, swoich tłomoków gdy się łódź zatopi, dochowasz? Izali sam ze wszystkiem nie pogrąźniesz? Wielka ślepota na wielkich grzechach rosnąca!“

Oby te słowa choć dzisiaj trafiły do przekonania nas wszystkich! Obyśmy pojęli całą ich prawdę! Patrząc bowiem na to co się dzieje i działo, czyż nieraz pomimowolnie to nie stanie na myśli: Że jeżeli wielu z nas ma przeszkadzać majątek do dopełnienia obowiązków Polaka, to dobrze, że Opatrzność wszelkiemi sposobami usuwa od nas tę przeszkodę używając jako środków naprzemian to chciwości Moskali i innych, to naszego niedołęztwa lub marnotrawstwa.

Marnotrawstwo jest także nieszczęściem obecnego stanu kraju, gdyż wielu młodych dla tego mu podpada, że nie może sobie wyższego celu życia naznaczyć, że nieodebrało należytego oświecenia, że nie może zużyć w służbie dla dobra publicznego tego pragnienia działalności, jakie im spoczynku nie daje. Kiedy się polityczne położenie Polski odmieni, marnotrawstwo zniknie pod potępieniem publicznej opinji, a młodzież też oświeceńsza wtedy będąc i mogąc postawić sobie do ścigania wyższy ideał życia, wzbraniany dziś cytadelą i Sybirem, będzie mogła swe pragnienie jakiegoś życia działalnego, służbie narodowej poświęcić. Wtedy charaktery te co dziś wiodą do rozpusty, prowadzić będą do przedsiębiorstw i pracy.

Obecnie ubolewać tylko trzeba nad stratą tylu młodych ludzi, co niebaczni na nic, samem nieszczęśliwem położeniem kraju są popychani ku marnotrawstwu, które jest zgubną dla nich passją, z której rzadko kto wyleczyć się może nawet po rozproszeniu tego, co w spadku po rodzicach otrzymał. Typ podobnego niepoprawnego marnotrawcy, udało nam się nawet i na emigracji napotkać, lubo w jednym tylko egzemplarzu. Gucio, tak nazwiemy bohatera naszego opowiadania, nie jest bynajmniej zmyśloną postacią. Pochodzi on z familji, która pod koniec istnienia niepodległej Polski była zamożna, ale niedość pamiętna, tak jak wiele innych, na potrzeby upadającego kraju. Rodzinie tej następnie poczęło się zupełnie nie wieść; majątek coraz bardziej ginął pomimo odświeżania go licznemi posagami i sukcesjami. Obecnie już tylko niektórzy z tej familji zachowali w części swe uszczuplone fortuny, reszta zaś członków tej rozgałęzionej dość licznie rodziny straciła wszystko. Gucio przynajmniej, co go się osobiście tyczy, to ze swej strony jak najwierniej dopełnił tego zadania, niczego nie zaniedbując, żeby nawet ostatnie szczątki spuścizny roztrwonić w zupełności. Po ojcu nic nie otrzymał, gdyż ten nierządem i hulatyką, obszerną majętność w przepysznej glebie już dawniej zmarnował. Za to otrzymawszy na swój dział 40,000 złp. z sukcesji po matce, udał się z niemi natychmiast do Warszawy, z której w swe strony powrócił dopiero wtedy — na co jednak niedługo było potrzeba czekać — aż prawie nawet grosza nie miał w kieszeni. Osiadł więc sobie na rezydencji u jednego z krewnych tegoż samego nazwiska, który jeszcze miał parę ładnych wiosek, choć jak to mówią nieźle już zaszarganych podróżą i pobytem w Paryżu. Tutaj to Gucio zajął się wychowem paru pięknych koni, od czasu do czasu odwiedzając tylko sąsiednie miasteczko, skoro mu jaki niespodziewany grosz kapnął do kieszeni, w której zagrzać długo nie mógł. W taki sposób przepędził parę lat rekolekcji. Nadszedł rok 1863. Na odgłos powstania, Gucio — trzeba to wyznać na jego pochwałę — był jednym z najpierwszych w swej okolicy, co wsiadł na konia, drugiego swego dał pod ochotnika, parę jeszcze na tenże sam cel wyprowadził ze stajni najukochańszego stryjka, i tak na czele trzech jeźdźców, przybył do szeregów kawalerji narodowej. W okolicy tej było wielu *białych*, więc krzyczano na Gucia strasznie za ten pośpiech i łajano go, że do hołoty (sic!) zaciągnął się, która tylko kraj chce zgubić i nawet rozsądni

ludzie rozpuścili już odezwę, że każdy dobrze myślący Polak powinien powstańców chwytać i władzom moskiewskim wydawać. Gucio na to wszystko nic nie zważał i jako podoficer pozostawał ciągle w obozie.

(Dokończenie nastąpi).

KARTKI Z PAMIĘTNIKA
Z CZASOW OSTATNIEGO POWSTANIA.

(Ciąg dalszy.)

Dnia 17 lutego z rana otrzymaliśmy rozkaz być w gotowości do wymarszu na zdobycie *Miechowa*, a o godzinie 2 po południu cały oddział był już pod bronią. W pół godziny potem cały oddział był w marszu.

Miechów powiatowe miasto w dawnem województwie krakowskiem, a w 1863 r. w gubernji radomskiej, liczące ludności 8 do 9 tysięcy i w czasie powstania obsadzone wojskiem nieprzyjacielskiem w sile przeszło 2 tysięcy, które posiadało i dział 4.

Miechów jest to punkt, o którym wszelkie przygotowania powstańcze od 1846 r. marzyły jako o pierwszym do zdobycia i w 1863 roku wszyscy się spodziewali w Krakowie, że wyprawa z Krakowa zrobioną będzie wprost na Miechów, i możeby taka wyprawa była rzeczywiście uwieńczoną pomyślnym skutkiem. Do tego potrzeba było dwóch warunków, aby ona przyszła do skutku w pierwszych dniach powstania, t. j. kiedy nieprzyjaciel pod wpływem przestrachu jaki wywołuje wybuch, lęka się własnego cienia nawet i nie może wiedzieć o sile powstańczej, wyobrażając ją zawsze dziesięćkroć większą niż jest i nie pewny mieszkańców czy wewnątrz go nie zaatakują, co także jest prawdopodobnem, a nawet porozumienie pod tym względem konieczne, i powtóre pewnej siły oddziału napadającego, choć znowu wielokrotne przykłady wskazują, że w pierwszej chwili powstania, lada garstka odważnych, wyrzuca z miast niewarownych znaczne oddziały wojska, lub takowe wytępia, zawsze z powodu tego popłochu, w jakim się znajduje nieprzyjaciel w obcym kraju, gdy naród bierze za broń, aby go wytępić lub wyrzucić.

Gdy takiego napadu w pierwszych dniach nie zrobiono, gdy nieprzyjacielowi pozostawiono miesiąc czasu do ochłonięcia z przestrachu i skoncentrowania sił swoich, gdy mu zostawiono czas do zbadania gruntu pod sobą i zabezpieczenie się co do ludności miasta, w którem przebywa, a oraz obliczenia sił powstańczych i nabrania świadomości najzupełniejszej, przez jaką siłę zostanie zaatakowany. W tem położeniu zadanie stało się o wiele trudniejszem i potrzeba było dobrze się obliczyć, chcąc krok naprzód postawić.

Nie zawadzi tu pytanie, czy w położeniu, w jakiem byliśmy 17 lutego, potrzebne było zdobycie Miechowa?

Wcale nie. W powstaniu każdy oddział powinien przynajmniej pierwszą bitwę wygrać, aby żołnierz się wyrabiał i nabierał ducha. Zdobycie Miechowa było wątpliwe, a po zdobyciu nawet potrzebaby było go napowrót oddać przeważającej sile. Potrzeba było zdobywać to co łatwiej i trapić nieprzyjaciela. Wszakże okoliczność się nadażyła następująca:

Moskale znudzeni naszą bezczynnością, wyszli z Miechowa w sile przeszło półtora tysiącznej z armatami dla wypłoszenie nas z Ojcowa; w Miechowie pozostała nieliczna załoga przeważnie z żołnierza źle uzbrojonego i nieregularnego złożona. Z tej okoliczności korzystając przywódzcy nasi, postanowili rozminąć się w drodze z oddziałem idącym na Ojców, napaść na załogę miechowską i takową wytępić. Pozwolimy jednak sobie twierdzić, że w tym wypadku można było zrobić w drodze zasadzkę na Moskali i rozprawić się z nimi, mieliśmy siłę przeważającą liczebnie, a do tego tysiąc kosynjerów, co przy dobrej pozycji zapewnia zwycięztwo nad dwakroć przeważającą siłą nieprzyjacielską. Ale my poszliśmy na Miechów i to było dobre.

W takim razie elementarnem było napaść na Miechów w nocy i niespodzianie. Taki też i plan stanął. Jeden oddział z 500 ludzi złożony, miał zaatakować ze strony przeciwnej, a my z główną siłą mieliśmy znowu uderzyć jednocześnie od strony Krakowa. Szkoda tylko, że plan ten nie został wykonany. Nie było w nim nic nadzwyczajnego, ale bo też na zdobycie Miechowa w tych warunkach jakie były wówczas, nie potrzeba nawet było planu; potrzeba było wpaść do miasta, wyciać Moskali i rzecz skończona. Lecz chcąc najmniej stracić ludzi, potrzeba było napaść w nocy na nieprzygotowanych. To też napad oznaczono na godzinę 5tą z rana.

Wyszliśmy tedy o godzinie 2 po południu i po małym spoczynku w *Skale* szliśmy szybkim marszem bez drogi po polach i wąwozach. Żuawi szli w awangardzie, uszykowani porządnie. Naprzód szła awangarda oddziału żuawskiego, później sam oddział, dalej arjergarda; po bokach o 40 kroków szli flankierowie, do których i piszący miał zaszczyt należeć. Było to najfatalniejszem być flankierem, bo sam oddział zawsze prawie miał jakąś drożynkę udeptaną, flankierom zaś potrzeba było wciąż brnąć po kolana w śniegu, przebywać rowy i płoty, a nieraz wąwozy zasypane śniegiem, z których na czworakach potrzeba było wydobywać się; nie było więc sposobu ustrzeżenia się, aby broń nie

zamokła. Gdy oddział skręcał, flankierowie musieli robić ogromny krąg i w galop biedz, aby się wyrównać z oddziałem.

Myślicie może ładne czytelniczki, jeżeli choć jedna łaskawą jest zajrzeć do mojej bazgraniny, że to bardzo nieprzyjemnie jest dostać się na takiego flankiera i skakać przez rowy i płoty i t. p. — przeciwnie. Nie ma nic nieprzyjemniejszego dla żołnierza w czasie wojennym jak postać bezczynnie i siedzieć przy piecu, albo uciekać z bitwy, nie ma znowu nic przyjemniejszego, jak znosić trudy wojenne, brnąć choćby po pas w śniegu lub wodzie, przebywać największe trudności. Czem więcej tego, tem silniej hartuje się duch, a chociaż ciało upada czasem pod znużeniem, jak było z nami, to jedna chwileczka wypoczynku dla ciała, orzeźwia znowu, i człowiek pełen siły i życia gotów uderzać na tysiące. Nie jest to z mojej strony samochwalstwo, jest to po prostu naturą ludzką; człowiek w takiem położeniu, gdy widzi wielki cel przed sobą, gdy widzi że jest porządek, że śmiało i bez pardonu idzie się do tego celu — mężnieje, staje sie sokołem, orłem, staje się bohaterem.

Nie wiem czy tak jest w wojsku regularnem, i wątpię aby tak było, bo tam działa tylko uczucie zwierzęce, tam podnosi się w człowieku natura zwierzęca i zabija naturę ludzką, więc może żołnierz nabierać odwagi i jak byk rozhukany uderzać na nieprzyjaciela, a spotkawszy przepaść, lecieć do tej przepaści bez samowiedzy — gdyż wojsko ma inny cel: ono idzie rznąć ludzi, grabić, palić, mordować. Tu nie ma szlachetnych pobudek, nawet w takim razie, gdy wojsko występuje w obronie własnej ojczyzny, żołnierz nie może się podnieść do stanowiska obywatelskiego, bo za długo już był w kuźni żołnierskiej. Czy na obronę wolności własnego kraju, czy na pognębienie cudzej, żołnierz idzie zarówno. Przeciwnie w powstaniu, lub u narodów wolnych, gdzie tylko wówczas biorą obywatele za broń, gdy mają bronić swej wolności, swojej ojczyzny, tu w człowieku natura ludzka podnosi się i opanowuje zupełnie, dla tego każde powstanie, każda walka o niepodległość, rodzi w każdym narodzie tysiące bohaterów — robi z każdego powstańca bohatera. Ztąd częstokroć widzimy cuda dokonywane przez ludzi bez należytego uzbrojenia i należytego prowadzenia.

To też po ośmio godzinnym marszu, dla flankierów najforsowniejszym jak tylko być może, człowiek upadał pod znużeniem, ale nie chciałby się zatrzymać, lecz iść dalej i dalej.

Za żuawami posuwał się cały oddział. Wybaczą mi czytelnicy, że nie opiszę w jakim porządku, bo tego nie widziałem.

O godzinie 10 oddział zatrzymał się we wsi *Czaple*, i my się tu zatrzymamy, bo tu się rozwiązał krwawy dramat bitwy miechowskiej, która jest punktem kulminacyjnym naszego opowiadania.

(Dalszy ciąg nastąpi).



JAN HUS.

JAN HUS I JAN ŻYŻKA.

Jan Hus urodził się w roku 1369, dnia 6 czerwca we wsi Husińce, zkąd otrzymał swoje nazwisko, gdyż pochodząc ze stanu wiejskiego, który był uważany za nic, nie przechował nazwiska swoich rodziców.

Hus otrzymał najwyższe wykształcenie, o co była łatwość wielka pod owe czasy w Czechji, gdyż Czesi stali na czele cywilizacji, a dobry i mądry ich król Karol, dokładał wszelkich starań na podniesienie światła w narodzie czeskim i Pragę wywyższył nad wszystkie miasta Rzeszy Niemieckiej, której był cesarzem.

Hus był obdarzony olbrzymim umysłem i ewangielicznemi cnotami. Obrał sobie stan duchowny i został spowiednikiem królowej, obok czego był profesorem i rektorem uniwersytetu. Oraz był najznakomitszym kaznodzieją z powodu niesłychanie porywajacej wymowy.

Jako dziecko ludu i należąc do stanu duchownego, na te dwa stany skierował swoją działalność. Dążył do polepszenia doli ludu i zreformowania stosunków kościelnych, czyli oczyszczenie religji z rozmaitych skażeń. Górując nad poziomem umysłów w swoim wieku i znalazłszy przez rozszerzoną oświatę w Czechji przystęp do serc i pojęć współrodaków zaszczepił rewolucję społeczną i religijną, któraby może tak rychło się nie przyjęła, gdyby nie napotkala na silne, gwaltowne, namiętne, a bezrozumne prześladowania ze strony przeciwnej, która w swej zaciekłości posunęło się aż do spalenia Husa żywcem na stosie. Co miało miejsce dnia 6 lipca 1415 r. w Konstancji na soborze powszechnym.

Haniebna zbrodnia soboru i nieugięcie się Husa przed śmiercią, staly się hasłem stuletniej wojny, którą Czesi prowadzili z taką bohaterskością, iż po wieki wieków dali przykład wszystkim ludom męztwa i poświęcenia, a oraz naukę, jak wielka spoczywa sila w każdym choćby najmniejszym narodzie, gdy z samowiedzą i mi-

łością wolności i ojczyzny występuje w obronie swego kraju i swoich praw.

Jednym z najgłówniejszych bohaterów wojen husyckich jest Jan Żyżka z Trochowa. Imie jego po raz pierwszy spotykamy w wojnach Wł. Jagiełły z krzyżakami, gdzie on był z oddziałem czeskim, który nadbiegł nam w pomoc przeciwko hydrze krzyżackiej. Pod Grunwaldem stracił Żyżka oko. Należał do zamożnej rodziny i był na dworze króla czeskiego Wacława, skąd przeniósł się do obozu Husytów i został ich wodzem Był jednym z najdzielniejszych wodzów swojego wieku, i chociaż w wojnach i drugie oko utracił, nie przeszkadzało to mu zawsze zwyciężać dziesięćkroć silniejsze wojska niemieckie. Umierając nawet kazał swą skórą obić bęben, który dawał hasło do zwycięzkich bojów. — Umarł w r. 1424 w październiku.

PIWO.

Kto z nas nie zna i kto z nas nie używał tego napoju. Znanym on jest tak dobrze w Polsce, jak w Niemczech, Anglji, Francji lub Hollandji. Posługują się nim bezustannie nietylko oberże lub szynkownie miejskie, lecz zarówno handle, kawiarnie, knajpy lub birhale pierwszych stolic Europy. Biedota i wszelki proletarjat tak dobrze często szuka w nim pociechy i przyjemności, jak niejeden zdegustowany gastronom stara się zneutralizować władzę smaku swojego podniebienia, nieraz nadwerężoną i zdemoralizowaną użyciem wielu innych często zbyt podniecających i zbyt rozdrażniających napojów. —

Piwo jest to napój ogromnie dawny. —Znany on był nietylko naszym przodkom drugiego lub trzeciego pokolenia, ale jeszcze w czasach średniowiecznych a nawet starożytnych, protoplaści nasi posługiwali się niem bardzo często—i jeżeli mamy wierzyć autorom greckim, to piwo wzięło swój początek na wschodzie, a ztamtąd dopiero od czasów niepamiętnych, używanie jego zostało wrrowadzonem do Europy. Jeszcze starożytny Egipt posiadał znakomite piwowarnie, które dostarczały masy swoich wyrobów nietylko dla kraju tamecznego, ale również dla ogromnie ludnych prowincji całej małej Azji. —

Niewdając się w obszerny opis rozwoju, udoskonalenia i przejść rozmaitych, jakie piwo musiało odbyć w przeciągu kilkunastu wieków — powiedzmy krótko — że dzisiejszą ojczyzną piwa są Niemcy. Nigdzie go tak dużo nie używają i nigdzie go tak dobrze nieurządzają jak w Niemczech. Anglicy też wyrabiają go nie mało i posiadają nawet dobre gatunki (jak porter, ale de Preston-Prans), ale te z przyczyny cen wysokich, są dostępne tylko dla klas zamożniejszych; większa zaś część ludności zmuszoną jest przestawać na nędznym i fałszywie przygotowanym napoju, któren tem tylko jest podobnym do piwa, że nosi jego nazwę — piwa francuzkie pospolicie są przygotawiane drogami nienaturalnemi. — Bardzo prawdopodobnie, że w Polsce napój ten jest mniej fałszowanym aniżeli gdzie indziej, ale za to też fabryki nasze i sposoby konserwowania wielce ustępują sposobom zagranicznym.



JAN ŻYŻKA.

Zanim przystąpimy do krytyki rozmaitych gatunków piwa, zastanówmy się nieco nad jego składem chemicznym, sposobem wyrabiania i co najgłówniejsza nad skutkami — jakie użycie tego napoju może wywierać na nasz organizm.

Każdemu wiadomo, że do sporządzenia piwa potrzebne są dwa główne elementa — jęczmień i chmiel. Jęczmień stanowi główną podstawę napoju Chmiel zaś służy dla nadania pewnego smaku, goryczy, aromatu — jako też dla konserwowania piwa. —

Nie mając pretensji do opisu szczegółowego wyrobów piwa — powiem pokrótce — że jęczmień kładzie się do umiarkowanie ciepłego miejsca i lekko się zwilgaca wodą, dla wywołania kiełkowawania, czy też przerastania tego ziarna. Przerastanie zaś spowodowuje fermentację, pod wpływem której krochmal, stanowiący przeważną część ziarna, zamienia się na dektrynę, a następnie na glucze i cukier. Potem dodaje się pewną ilość chmielu, jakeśmy powiedzieli dla aromatu i goryczy. Fermentacja tego ciasta czy też rozczynu kontynuuje się dalej, ale dla powiększenia takowej jest w zwyczaju dodawać trochę drożdży, pod wpływem których znacznie prędzej się wywołuje zamiana pewnej części cukru na spirytus i kwas węglany. — Następnie

po pewnym czasie wypoczynku i oczyszczeniu — piwo może służyć do użytku.

Skład chemiczny piwa znacznie się różni od składu wielu innych przez nas używanych napójów — jak n. p. wino, miód, kwas i t. p. — Wszystkie te płyny nie są czem innem jak tylko sokiem pewnych płodów roślinnych, wówczas kiedy piwo otrzymuje się za pomocą znacznie wyższej sztuki i ma własności bez porównania wyższe i więcej zkomplikowane. Piwo nie jest napojem w ścisłem znaczeniu tego słowa, ale zarazem jest napojem i pokarmem. Najprzód dlatego, że piwo ma w sobie znacznie więcej części stałych, aniżeli bardzo wiele innych napojów przeznaczonych do naszego użytku, a potem znowu, że większa część tych elementów służy jedynie do karmienia naszych tkanek. Piwo z wielu względów jest zbliżonem do mleka. Jak mleko samo przez się stanowi pokarm — chociaż wprawdzie lekki i przeznaczony dla istot młodych — ale kompletny, zupełny, czyli zawierający w sobie wszystko to, co jest potrzebnem do podtrzymania naszego organizmu — tak też piwo posiada w sobie masy cząstek, które są potrzebne do tej nieustannej zamiany, jaka się odbywa w naszym organizmie i która właściwie mówiąc stanowi nasze życie. C. d. n.

PORADNIK LEKARSKI.

Sposób leczenia wścieklizny.

Dziennik *La Ferma* następującą podaje wiadomość: Dr. Buisson, wezwany do chorej na wściekliznę, która w swej chorobie blizką była ostatecznego przełomu, puścił jej krew i otarł ręce chustką napojoną śliną umierającej. Na palcu u lewej ręki miał on małą ranę niezagojoną, lecz zbyt późno spostrzegł swą nieostrożność. Ufny wszelako w skuteczność nie dawno przez siebie wynalezionego środka, poprzestał na przemyciu rany zimną wodą.

Sądząc mówi p. Buisson, że choroba nie prędzej się objawi, jak czternastego dnia i mając wiele chorych do odwiedzania, ściągałem się z dnia na dzień z użyciem mego lekarstwa, to jest z wzięciem łaźni parowej. Dziewiątego dnia pracując w swoim gabinecie, uczułem nagle ból w gardle, a jeszcze dotkliwszy w oczach; ciało moje wydawało mi się tak lekkie, że przekonany byłem o możliwości wzniesienia się jednym skokiem do niesłychanej wysokości: włosy stały się tak czułemi, że zdawało mi się, iż będę mógł je policzyć, nie patrząc na nie; ślina bez ustanku płynęła mi do ust. wpływ powietrza raził mnie strasznie, a wzrok unikał widoku ciał błyszczących, czułem nieprzezwyciężoną chęć biegania i kąsania, nie ludzi, ale zwierzęta i wszystkiego co mię otaczało.

Piłem z wielką trudnością i uważałem, że widok wody więcej mnie męczył jak ból w gardle, wnoszę ztąd, że każdy dotknięty wścieklizną może zawsze pić zmrużywszy oczy.

Napady przychodziły co 5 minut i uczuwałem wtedy ból na całej przestrzeni od palca aż do łopatki. Sądząc, że środek przezemnie odkryty, jest tylko prezerwatywą nie mającą mocy leczniczej, wziąłem łaźnię parową nie w zamiarze wyleczenia się, ale przeciwnie w zamiarze zadania sobie śmierci przez uduszenie. Kiedy temperatura podniosła się 52° (100 stopniowego termometru) wszystkie objawy choroby znikły w jednej chwili, i od tego czasu nigdy więcej nie wróciły. 80 blizko ukąszonych przez wściekłe zwierzęta, uleczyło się wskazanym przezemnie środkiem.

Sposób postępowania w podobnem leczeniu jest następujący: osoba ukąszona przez psa wściekłego. powinna przyjąć 7 kąpieli parowych, po jednej dziennie w temperaturze od 57 do 63 stopni. Jest to środek zapobiegający. Jeżeli zaś choroba już się objawi, potrzebną jest jedna tylko kąpiel w temperaturze nader szybko do 57 stopni podniesionej, a następnie zwolna do 63° doprowadzonej. Chory powinien nadto siedzieć dobrze zamknięty w swoim pokoju, aż do zupełnego wyleczenia.

Kol.

WIADOMOŚCI POŻYTECZNE W GOSPODARSTWIE.

Gdzie szukać wody.

Każdy z nas, który nie posiada w bliskości studni, wie, jakaż to bieda dla ludzi i bydła. A znów kopać na chybił trafił za wodą, toć to samo, co zabawka w ślepą babkę. Otóż, kochani bracia, podam wam sposób, za pomocą którego z pewnością znajdziecie wodę.

W czasie suchym, w którym długo deszczu nie było, wykop dołek na jedną stopę głęboki. Weź 5 łótów białej myrry, 5 łótów niegaszonego wapna i 5 łótów grynszpanu — zetrzyj to wszystko na proszek i wsyp ten proszek do nowego glinianego garnka. To okryj dobrze grubo owczą wełną. Teraz zważ to wszystko, ale dokładnie i zatrzymaj w pamięci ile ważyło. Wstaw garnek ten do wykopanego dołku i zarzuć go ziemią. Po 24 godzinach wykop garnek, ziemię na wełnie leżącą zrzuć wszystką czemprędzej i znów zważ. Jeżeli garnek mniej waży jak przed 24 godzinami, natenczas w miejscu tem naprożno byś wody szukał. Jeżeli zaś waży więcej, kop, a z pewnością wody się dokopiesz. I tak jeżeli garnek o 2 łóty więcej waży jak przed 24 godzinami znajdziesz

wodę na	75 stóp.
o 4 łóty . . .	50 „
o 6 łótów . .	$37\frac{1}{2}$ „
o 8 łótów . .	25 „
o 10 łótów . .	$12\frac{1}{2}$ „

Środek zaradczy na chorobę robaka, u kanarków się pojawiającą.

Wielu bez wątpienia czytelników naszych ma w swoich mieszkaniach kanarki, a wielu nawet trudni się ich hodowaniem. Dla tych więc podajemy środek zaradczy na chorobę robaka, która kanarki często nawiedza i życia pozbawia. Środek ten jest bardzo prosty. Skoro właściciel kanarków dostrzeże, że one stają się smutne i nadersząłe, i przyczynę tego upatruje w chorobie robaka, niech wieczorem okryje klatkę, w której się kanarki znajdują, czystą białą chustką. i tę pozostawi na klatce przez noc. Jeżeli więc choroba wzmiankowana istotnie kanarki nawiedziła, okażą się rano na chustce małe czerwone punkciki, które właśnie są owymi robakami, kanarki zaś wracają do dawnej swej wesołości.

Sposób wytępienia szwabów.

Robi się proszek z 2 części boraksu, 1 części mąki, 1 części cukru, i posypuje się nim miejsca, w których szwaby się zagnieździły. Jak tylko szwaby skosztują tego proszku, to natychmiast zdychają. Innym zwierzętom i t. d., proszek ten wcale nie szkodzi.

Rozróżnienie włókna lnianego od bawełny.

Dr. *Wiederhold* podaje następujący sposób bardzo prosty a pewny:

Rozkręciwszy nitkę ostrożnie i urwawszy ją następnie przez powolne rozerwanie, dostrzega się wielką różnicę w urwanych końcach nitki lnianej, a bawełnianej. Nitka bawełniana rozlazi się łatwiej, końce powstałe przez rozerwanie przedstawiają strzępy długie, gałęziste i jakby kręcone. Końce powstałe przez urwanie nitki lnianej są jakby ucięte, niestrzępiate i nie przedstawiają kosmyków długich, ani skręconych. Trochę wprawy oka na nitkach jednych czysto lnianych, drugich czysto bawełnianych, następnie na nitkach z tkaniu mieszanych, a sposób ten okaże się łatwym oprócz nieomylności swojej.

ROZMAITOŚCI.

— Kanał Augustowski stanowiący ważne ogniwo naszych komunikacji wodnych, obecnie zamierzają poprawiać. Zarząd komunikacji wyznaczył już w tym celu 3200 r. sr.

— Deszcze panujące obecnie w niektórych okolicach spadają w nader wielkiej obfitości, jeden z takich padał w Warszawie 28. czerwca i sprawił tak wielką powódź, że w wielu miejscach miasta komunikacja była przerwaną.

— P. Lech Nowakowski, dyrektor teatru w Poznaniu z całą trupą opuszcza na lato Poznań, aby dać z rzędu kilkanaście przedstawień w Bydgoszczy i Inowrocławiu.

— W Petersburgu umarł carski historyk M. Ustriałow, profesor uniwersytetu. Był to jeden z największych fałszerzy tak polskich jak i moskiewskich dziejów. Dzieła jego używane były jako podręczniki w szkołach. Jak dalece jednak posuwał on sposób fałszowania dowodzi to, że profesorowie innych uniwersytetów, jakkolwiek także dalecy od prawdomowności, gdy spostrzegali, że uczeń chcący postąpić na uniwersytet tylko z książki Ustriałowa uczył się dziejów Moskwy, już go z pewnością do słuchania kursów uniwersyteckich nie dopuścili.

— W Anglji umarł znany powieściopisarz *Dikens* i znany lord *Clarendon*.

— Szkoła rolnicza w Żabikowie w Poznańskiem, ma być wkrótce otworzona. Miejsce owo należy do p. Cieszkowskiego, który je bezinteresownie, a nawet ze znaczną ofiarą pieniężną, oddał na użytek wspomniony. Inni obywatele złożyli na tenże cel 6,000 talarów. Dyrektorem tej szkoły ma zostać znany w świecie agronomicznym p. Au, rodem z Poznania.

— Rzucanie wianków na wodę, urządzone w Poznaniu po przed śluzą wielką w wigilję św. Jana przez tow. ml. przemysłowców, bardzo malowniczy przedstawiało obraz. Dziewice u brzegu stojące rzucały wianki przymocowane do desek, na których paliło się po pięć świeczek. Młodzież na łodziach, oświeconych czerwonym ogniem bengalskim, chwytała wianki. Na jednej z większych łodzi przybranej w wieńce i lampiony, śpiewano chórem pieśni narodowe.

— W Warszawie nakładem najznakomitszej dzisiaj księgarni polskiej Gebetnera i Wolfa wyszła pierwsza serja składająca się z 25 obrazków kolorowanych. Obrazki te są rysunku znanego artysty p. Tegazzo, żywoty i modlitwy na odwrotnej stronie obrazków ułożone są przez panią Belejowską.

— Dotąd, tylko Indje wschodnie, Meksyk, Brezylja i bogate pokłady drogich kamieni w Uralu dostarczały Europie djamentów. Obecnie Dr. *A. Szafarczyk* profesor szkoły politechnicznej, w jednej z gazet praskich, zamieścił wiadomość o odkrytych przez siebie djamentach w kopalni Dlaszkowickiej o ośm mil od stolicy Czech. Będzie to zatem pierwsza kopalnia tych drogocennych kamieni w Europie

SPRAWY WYDAWNICTWA.

Z powodu śmierci ś. p. Jana Kantego Turskiego, druk zapowiedzianej powieści jego: *Na warszawskim bruku*, zmuszeni jesteśmy odłożyć, gdyż wypada nam dokładnie porozumieć się z rodziną. Damy więc wpierw w Bibl. Mr. *Słowackiego* dwa poemata: *W Szwajcarji* i *Ojciec zadżumionych*, — oraz *Romana Zmorskiego*: *Lesław*, szkic fantastyczny. — Szanowni prenumeratorowie powinni uwzględnić, w wydawnictwie częstokroć zachodzące rozmaite okoliczności, które nie dają się przewidzieć z góry, i pozostawić redakcji rozwiązane ręce w wyborze dzieł. Położyliśmy sobie za zadanie przedrukować wszystkie zasługujące na to dzieła literatury polskiej, a to aby je podać w cenie umiarkowanej, gdyż nie wszyscy są w możności płacenia drogo za książki. Zadanie więc jest nie łatwe do spełnienia i na wiele lat się rozciągające, idzie o to, które dzieła wprzódy, a które potem mamy brać do przedruku, otóż chcemy mieć zupełną dowolność w wyborze. Wprawdzie musimy ogłaszać z góry, że to i owo damy w tej serji, a musimy aby publiczność nie kupowała kota w worku, ale znowu nie możemy ściśle się tego trzymać, bo zachodzą tysiączne okoliczności, które gdybyśmy chcieli odsłaniać znudzilibyśmy czytelnika i zapisalibyśmy dużo papieru. Czasem pół roku, rok, albo i więcej czasu potrzeba na odszukanie dzieła, które już z handlu księgarskiego dawno wyszło i t. p.

Musimy się pochwalić przed czytelnikami, że już jesteśmy w możności podać w Bibl. Mr, powieść w 3 tomach *Włodzimierza Wolskiego*, *Domek przy ulicy gołębiej* oraz dwie powieści *Walerego Łozińskiego*.

Rozpoczynając wydawnictwo Bibl. Mr. mieliśmy i drugą rzecz na myśli, a nie mniej ważną od pierwszej t. j. od zniżenia cen książek — chcieliśmy także oddziałać na nieprzyzwoity stosunek płacy autorom za ich pracę. Nie ma w Europie narodu, w którymby autorowie byli tak niewdzięcznie wynagradzani za swoją krwawą i

pełną poświęcenia pracę jak w Polsce. Pochodzi to stąd, że nakładcy częstokroć nie mogą wynagradzać (są i nadużycia), a nie mogą gdyż mała jest liczba czytającej publiczności. Nam się zdawało, że wysokie ceny książek znacznie się przyczyniały do tamowania ruchu literackiego i gdy takowe zniżymy rozszerzymy krąg czytającej publiczności i w ten sposób dopniemy podwójnego celu. Czytelnicy nasi wiedzą o tem żeśmy nie znaleźli należytego poparcia i że nam prenumerata nie pokrywa kosztów papieru i druku, a więc, że pod względem tego drugiego celu nic zgoła, albo prawie nic nie mogliśmy dotąd zdziałać.

Nie przeszkadza to jednak nam mieć nadzieję, że przezwyciężymy wszelkie przeszkody i i dopniemy celu. Jesteśmy tego pewni najzupełniej. A na gorliwe poparcie publiczności liczyć ośmielamy się.

POCIESZNE SONETY.
SONET BEZ GŁOSKI i.

Patrz... natura! a w naturze
Cuda, same cuda są.
Tu grad, słońce; tam mróz, burze,
Każda rzecz ma własność swą.

Grzmot po grzmotach huka w górze;
W dele deszcze skałę rwą.
Lecz te cuda małe, duże,
Zawsze budzą czułość twą.

Nasz padół ma cuda znane:
Lew ma swą moc, trąbę słoń,
Cuda ptaków lotem zwane:

Za cud, róża, ma swą woń.
W człeku cuda są zebrane,
Bo ma rozum, mowę, dłoń!

JAN KRZYWDA.

Listy z redakcji.

— *Panu S. w Tecuciu.* Już tego pojąć nie możemy dla czego trzy razy wysłane przesyłki pierwszych trzech tomików Bibljoteki rąk pańskich nie doszły. I co komu przyjdzie z tego, że polakomi się na pierwszy tom Wernyhory bez drugiego. Widoczna, że ktoś z zasady przywłaszcza sobie. Jeżeli do wyjazdu pańskiego żadna z tych trzech przesyłek nie dojdzie pana to prosimy raz jeszcze zawiadomić nas z Jass a wyszlemy na tamtą pocztę, może będziemy szczęśliwsi.

— *Pani L. M. w Morawsku.* Najmocniej przepraszamy ale już służyć nie możemy. Drugi Nr. *Towarzysza* jest właśnie wyczerpany do ostatniego egzemplarza.

Gdyby komu jeszcze brakowało Nrów *Towarzysza* z pierwszego półrocza, upraszamy o wczesne reklamowanie. Oprócz Nr. 2, 3 i 5 inne jeszcze posiadamy.

Treść Nr 8.: *Obrazki z emigracyjnego życia przez Zygmunta Gawareckiego. — Kartki z pamiętnika z czasów ostatniego powstania. — Jan Hus i Jan Żyżka. — Piwo. — Poradnik lekarski. — Wiadomości w gospodarstwie pożyteczne. — Rozmaitości. — Sprawy wydawnictwa. — Pocieszne Sonety Jana Krzywdy. — Listy z redakcji.*

Towarzysz wychodzi we Lwowie co drugą Sobotę.

Prenumerata do końca roku wynosi 2 zlr. — $1^1/_2$ talara — 7 franków.

Stali Prenumeratorowie *Bibljoteki Mrówki* prenumerujący wprost w administracji Mrówki otrzymują *Towarzysza* bezpłatnie i dopłacają tylko 1 zlr. — 10 sr. gr. — 3 franki do końca roku na koszta przesyłki i administracji.

Bibljoteka Mrówki wychodzi serjami, każda serja złożona ze 100 arkuszy druku kosztuje 4 złr. — 3 talary — 12 franków. Można prenumerować częściowo.

Przedpłatę na *Towarzysza* składa się jednorazowo. Reklamacje nieopieczętowane nie opłacają się.

Przedpłata ćwierćroczna na illust. Czasopismo *Mrówkę* wraz z *Dzien. lit.* wynosi 2 złr. 70 c. — $1^1/_2$ tal. — $7^1/_2$ fr

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: August L. Skerl. Z drukarni spółki „Dz. Lw." pod zarządem A. Skerla.